

KŁAMSTWO JESZCZE NIGDY NIE BYŁO TAK POCIĄGAJĄCE



THE



Spanish

LOVE

DECEPTION



☆☆☆

SENSACJA
TikToka

ELENA ARMAS



ELENA ARMAS

THE
Spanish
LOVE
DECEPTION

TŁUMACZENIE MATEUSZ BAKA



OTWARTE

KRAKÓW 2022

Tytuł oryginału: *The Spanish Love Deception*

Spanish Love Deception by Elena Armas. Copyright © 2021 by Elena Armas.

By arrangement with the author. All rights reserved

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Otwarte 2022

Copyright © for the translation by Mateusz Baka

Wydawca prowadzący: Olga Orzeł-Wargskog

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Przyjęcie tłumaczenia: Natalia Karolak

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Emoji w książce: panna młoda – Cosmic_Design / Shutterstock,
buźki – popicon / Shutterstock, pozostałe – ober-art / Shutterstock

Adiustacja, korekta i łamanie: CHAT BLANC Anna Poinc-Chrabąszcz

Projekt okładki: Emma Van Deun

Adaptacja okładki na potrzeby polskiego wydania: Monika Drobnik-Słocińska

ISBN 978-83-8135-206-2



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

*Dla tych, którzy podążają za marzeniami –
nigdy z nich nie rezygnujcie.
Nie poddajemy się, jasne?*

ROZDZIAŁ 1

– Pójdę z tobą na wesele.

Słowa, których nigdy, nawet w najśmielszych snach – a wiercie mi, mam bujną wyobraźnię – nie spodziewałam się usłyszeć wypowiedzianych tym głębokim głosem, dotarły do moich uszu.

Spojrzałam na swoją kawę, zmrużyłam oczy w poszukiwaniu śladów pływającej w kubku trującej substancji. To przynajmniej wyjaśniałoby sytuację. Ale nie.

Nic. Oprócz tego, co zostało z mojego americano.

– Zrobię to, skoro tak bardzo kogoś potrzebujesz – odezwał się znów ten sam głos.

Wytrzeszczyłam oczy i podniosłam głowę. Otworzyłam usta, po czym natychmiast je zamknęłam.

– Rosie... – szepnęłam i urwałam. – Czy on tu naprawdę stoi? Widzisz go? Czy może ktoś pod moją nieuwagę dosypał mi coś do kawy?

Rosie – moja najlepsza przyjaciółka i współpracowniczka z InTech, zajmującej się doradztwem inżynierskim nowojorskiej firmy, gdzie się poznałyśmy – powoli pokiwała głową. Obserwowałam, jak jej ciemne loczki podskakują w rytm tego

ruchu, a wyraz niedowierzania wykrzywia delikatne skądinąd rysy. Ściszyła głos.

– Nie. Stoi tu. – Pospiesznie wychyliła zza mnie głowę. – Cześć. Dzień dobry! – powiedziała radośnie, po czym znów na mnie spojrzała. – Zaraz za tobą.

Z rozdziawionymi ustami przez dłuższy czas wpatrywałam się w przyjaciółkę. Stałyśmy na końcu korytarza na jedynastym piętrze w siedzibie InTech. Nasze biura znajdowały się stosunkowo blisko siebie, więc gdy tylko weszłam do budynku usytuowanego w sercu Manhattanu, w pobliżu Central Parku, skierowałam kroki prosto do niej.

Zamierzałam zabrać Rosie, byśmy mogły się rozłożyć na tapicerowanych drewnianych fotelach, które służyły za poczekalnię dla umówionych na spotkania klientów, a które tak wcześniej rano zwykle nie były zajęte. Ale nie dotarłyśmy na miejsce. Zanim zdołałyśmy usiąść, zrzuciłam bombę. Moje położenie było tak kłopotliwe, że wymagało natychmiastowej uwagi Rosie. A potem... potem, nie wiedzieć skąd, zmateriałizował się on.

– Mam powtórzyć trzeci raz? – Jego pytanie wywołało u mnie kolejny przyływ niedowierzania, który ogarnął moje ciało, mroząc krew w żyłach.

Nie zrobiłby tego. Nie żeby nie mógł, po prostu, co mówił, nie miało najmniejszego sensu. Nie w naszym świecie. W którym...

– Dobrze, w porządku. – Westchnął. – Możesz mnie zabrać. – Zamilkł, a mnie ogarnęła kolejna fala lodowatej nieufności. – Na wesele swojej siostry.

Plecy mi się napięły. Ramiona stężały.

Poczułam nawet, jak satynowa bluzka, którą włożyłam do beżowych spodni, naciągnęła się gwałtownie.

Mogę go zabrać.

Na wesele siostry. Jako... partnera?

Byłam zdumiona, a jego słowa krążyły mi po głowie.

A potem coś we mnie pękło. Absurd tego czegoś – jakiegoś perwersyjnego żartu, który usiłował mi zrobić ten niegodny zaufania człowiek – spowodował, że pusty śmiech powędrował w górę mojego gardła, dotarł do ust i wyrwał mi się niespodziewanie i głośno. Jakby mu się spieszyło.

Zza moich pleców dobiegło chrząknięcie.

– Co cię tak śmieszy? – Jego głos stał się cichszy i bardziej lodowaty. – Mówię całkiem poważnie.

Pohamowałam się przed kolejnym parsknięciem. Nie mogłam w to uwierzyć. Ani przez sekundę.

– Szansa, że – odezwałam się do Rosie – mówi naprawdę poważnie, równa jest szansie, że zjawi się tu nagle Chris Evans i zadeklaruje swoją niegasnącą miłość do mnie. – Rozejrzałam się teatralnie w lewo i w prawo. – Zerowa. A więc, Rosie, mówiłaś coś o... panu Frenkel, prawda?

Nie było kogoś takiego jak pan Frenkel.

– Lino – odezwała się Rosie ze sztucznym, bardzo szerokim uśmiechem, który przybierała, kiedy nie chciała być nieuprzejma. – Wygląda, jakby mówił poważnie – oznajmiła, wciąż nienaturalnie rozciągając usta, a wzrokiem badała stojącego za mną mężczyznę. – Tak. Myślę, że może mówić poważnie.

– Nie. Nie może. – Pokręciłam głową, nie zamierzając się odwracać i przyznawać, że moja przyjaciółka mogła mieć rację.

Nie mogła. Nie było mowy, żeby Aaron Blackford, współpracownik i wieczny wrzód na moim tyłku, choćby spróbował zaproponować coś w tym rodzaju. Za. Żadne. Skarby.

Usłyszałam za sobą zniecierpliwione westchnienie.

– To się robi nużące, Catalino. – Długa przerwa. A potem kolejny głośny wydech wydostał się z jego ust, tyle że tym razem dłuższy.

Ale się nie obróciłam. Byłam twarda.

– Nie zniknę tylko dlatego, że mnie ignorujesz. Wiesz o tym. Wiedziałam.

– Co nie oznacza, że nie będę się starała – wymamrotałam pod nosem.

Rosie przywołała mnie wzrokiem do porządku. A potem wyjrzała zza mnie, przywołując ten swój szeroki uśmiech na miejsce.

– Przepraszam cię za to, Aaronie. Nie ignorujemy cię. – Uśmiech był coraz bardziej napięty. – My... o czymś dyskutujemy.

– A jednak go ignorujemy. Nie musisz uważać na jego uczucia. Bo ich nie ma.

– Dzięki, Rosie – odpowiedział przyjaciółce, a część zwykłego chłodu ustąpiła z jego głosu.

Nie żeby w ogóle bywał dla kogoś miły. Nie miał tego w zwyczaju. Chyba nawet nie był w stanie się na to zdobyć. Ale zawsze zachowywał się mniej... ponuro w kontakcie z Rosie. Zaszczyt, którego ja nigdy nie dostąpiłam.

– Czy mogłabyś poprosić Catalinę o odwrócenie się? Byłbym wdzięczny za możliwość porozmawiania z nią twarzą w twarz, nie twarzą w tył głowy. – Znowu powiało chłodem. – O ile, rzecz jasna, nie jest to jeden z jej żartów, których nigdy nie pojmuję, a już na pewno nie uważam za zabawne.

Zagotowało się we mnie i rumieniec wypłynął mi na twarz.

– Jasne – zgodziła się Rosie. – Chyba... Chyba mogę to zrobić. – Przeniosła wzrok z punktu za moimi plecami na moją twarz i uniosła brwi. – Lino, a więc, no, Aaron chciałby, żebyś się odwróciła, jeśli to nie jest jeden z twoich żartów, których...

– Dzięki, Rosie. Dotarło do mnie – wycodziłam przez zęby. Nie chciałam się odwracać, bo czułam, że płoną mi policzki. Poza tym to oznaczałoby, że pozwoliłam mu wygrać w tę dziwną grę, którą prowadził. Jakby tego było mało, właśnie stwierdził, że nie jestem zabawna. On. – Jeśli możesz, przekaż, proszę, Aaronowi, że nie można się śmiać z żartów, a już na pewno nie można ich rozumieć, kiedy człowiek nie ma poczucia humoru. Byłabym wdzięczna. Dzięki.

Rosie podrapała się po głowie i spojrzała na mnie błagalnie. Nie każ mi tego robić, zdawało się prosić jej spojrzenie.

Zrobiłam wielkie oczy, ignorując prośbę i błagając bezgłośnie, żeby mnie posłuchała.

Odetchnęła, a potem wyrzała zza mnie kolejny raz.

– Aaronie – zaczęła, a jej sztuczny uśmiech stał się jeszcze szerszy. – Lina uważa, że...

– Usłyszałem ją, Rosie. Dziękuję.

Byłam na niego – na to – wyczulona do tego stopnia, że zauważyłam subtelną zmianę tonacji sygnalizującą przejście do głosu, który był zarezerwowany wyłącznie dla mnie. Który był równie suchy i zimny jak zawsze, ale miał dodatkową warstewkę pogardy i dystansu. Który wkrótce prowadził do gniewnego grymasu. Nie musiałam się nawet odwracać i na niego patrzeć, żeby to wiedzieć. Aaron zachowywał się tak zawsze w stosunku do mnie i tego... czegoś między nami.

– Jestem pewien, że moje słowa docierają tam, na dół, do Cataliny równie dobrze, ale gdybyś mogła jej powiedzieć, że mam robotę i nie mogę dłużej się w to bawić, to byłbym wdzięczny.

Tam, na dół? Kretyńsko wysoki koleś.

Byłam średniego wzrostu. Średniego jak na Hiszpankę, jasne. Ale jednak średniego. Miałam metr sześćdziesiąt – prawie metr sześćdziesiąt dwa, więc wypraszam sobie.

Zielone spojrzenie Rosie znów spoczęło na mnie.

– No więc, Aaron ma robotę i byłby wdzięczny...

– Jeśli... – zamilkłam, słysząc, że zabrzmiało to cienko i piśkliwie. Odchrząknęłam i spróbowałam ponownie. – Jeśli jest tak zajęty, to powiedz mu, proszę, że może dać mi spokój. Może wracać do swojego biura i do swoich pracoholicznych zajęć, które ku mojemu zdumieniu przerwał, żeby wtykać nos w coś, co go nie dotyczy.

Obserwowałam, jak przyjaciółka otwiera usta, ale mężczyzna za moimi plecami odezwał się, zanim wy dobył się z nich jakikolwiek dźwięk.

– A więc usłyszałaś to, co powiedziałem. Moją propozycję. Dobrze. – Zamilkł.

A ja zakłęłam pod nosem.

– Jak w takim razie brzmi twoja odpowiedź?

Na twarzy Rosie znów odmalowała się konsternacja. Nie spuszczałam z niej wzroku i mogłam sobie wyobrazić, jak ciemny brąz moich oczu wraz z rosnącą złością przechodzi w czerwień.

Moja odpowiedź? Co on, do cholery, usiłował osiągnąć? Czy to jakiś nowy, wymyślny sposób, żeby namieszać mi w głowie? Odebrać jasność umysłu?

– Nie mam pojęcia, o czym on mówi. Nic nie słyszałam – skłamałam. – Możesz mu to przekazać.

Rosie założyła pasmo kręconych włosów za ucho, na moment przeniosła wzrok na Aarona, a potem z powrotem na mnie.

– Sądzę, że ma na myśli propozycję, że pojedzie z tobą na wesele twojej siostry – wyjaśniła łagodnie. – Pamiętasz, zaraz po tym, jak powiedziałas mi, że sprawy uległy zmianie i że potrzebujesz teraz kogoś znaleźć, ujęłaś to chyba słowem „kogokolwiek”, kto poleci z tobą do Hiszpanii i weźmie udział w weselu, bo w przeciwnym razie umrzesz powolną, bolesną śmiercią, i...

– Przypominam sobie – przerwałam jej, czując, że twarz mi znów płonie, bo zdałam sobie sprawę, że Aaron wszystko to usłyszał. – Dzięki, Rosie. Możesz zakończyć powtórkę. – W przeciwnym razie już teraz umrę powolną, bolesną śmiercią.

– Użyłaś chyba słowa „zdesperowana” – wtrącił Aaron.

Zapłonęły mi też uszy, świecąc pewnie pięcioma odcieniami odbłaskowej czerwieni.

– Wcale nie – wydyszałam. – Nie użyłam tego słowa.

– W sumie... użyłaś, kochana – potwierdziła moja najlepsza... nie, teraz to już moja była przyjaciółka.

Zmrużyłam oczy i powiedziałem bezgłośnie „zdrajczyń”.

Ale oboje mieli rację.

– W porządku. No to powiedziałam. Co wcale nie oznacza, że jestem zdesperowana.

– Właśnie tak mówią naprawdę bezradni ludzie. Ale mów, co chcesz, jeśli dzięki temu lepiej sypiasz, Catalino.

Klnąc pod nosem po raz enty tego ranka, na moment przy-mknęłam powieki.

– To nie twój interes, Blackford, ale nie jestem bezradna, jasne? I sypiam dobrze. Nie, właściwie to nigdy nie sypiałam lepiej.

Co szkodziło jeszcze jedno kłamstwo na szczycie stosu kłamstw, które dźwigałam, hm? Wbrew temu, co właśnie powiedziałam, czułam się bezradna i zdesperowana, żeby znaleźć kogoś, kto poleci ze mną na to wesele. Ale to nie oznaczało, że...

– Jasne.

O ironio, ze wszystkich cholernych słów, które Aaron Blackford wypowiedział tego ranka do tyłu mojej głowy, to jedno zła-mało moje postanowienie, że będę udawała obojętność.

To „jasne”, protekcyjnalne, zblazowane, na odwal się i tak bardzo typowe dla Aarona.

J a s n e.

Krew we mnie zawrzała.

To był impuls, odruchowa reakcja na pięcioliterowe słowo – które wypowiedziane przez kogokolwiek innego nie oznacza-łoby nic – więc zdałam sobie sprawę, że moje ciało się obraca, dopiero gdy było już za późno.

Z powodu niespotykanego wzrostu Aarona powitała mnie szeroka pierś okryta wyprasowaną białą koszulą, a mnie świerzy-biły palce, żeby złapać tkaninę w garść i ją zgnieść, bo kto para-duje przez życie tak nieustannie elegancki i nieskazitelny? Aaron Blackford – ot, kto.

Mój wzrok powędrował w górę, w kierunku rozłożystych barków i krępej szyi, aż sięgnął prostej linii szczęki. Usta Aarona tworzyły wąską kreskę, której właśnie się spodziewa-łam. Wzrok pobiegł jeszcze wyżej, do jego błękitnych oczu, które

przypominały mi głębiny oceanu, gdzie wszystko było lodowate i groźne, i odkryłam, że ich spojrzenie spoczywa na mnie.

Jedna z brwi Aarona się uniosła.

– J a s n e? – wycodziłam.

– Tak. – Głowa zwieńczona kruczoczarnymi włosami skinęła, ale spojrzenie pozostało nieporuszone. – Nie chcę tracić więcej czasu na kłótnie o coś, do czego i tak się nie przyznasz, bo jesteś zbyt uparta, więc owszem. Jasne.

Ten potwornie irytujący błękitnooki mężczyzna, który zapewne spędzał więcej godzin na prasowaniu swoich ubrań niż na interakcjach z innymi istotami ludzkimi, nie wyprowadzi mnie z równowagi o tak wczesnej porze.

Z całych sił usiłując zapanować nad własnym ciałem, wzięłam długi, głęboki wdech. Zatknęłam pasmo kasztanowych włosów za ucho.

– Skoro to taka strata czasu, to nie mam zielonego pojęcia, co ty tu jeszcze robisz. Nie zostawaj tu, proszę, przez wzgląd na mnie czy Rosie.

Bliżej nieokreślony dźwięk wyrwał się z ust P a n n y Z d r a j c z y n i.

– Skądże. – Aaron zgodził się ze mną niewzruszonym tonem. – Wciąż jednak nie odpowiedziałas na moje pytanie.

– To nie było pytanie – odparłam, a słowa smakowały gorzko. – To, co powiedziałaś, nie było pytaniem. Ale to nieistotne, bo nie potrzebuję cię, dziękuję bardzo.

– Jasne – powtórzył, podkreślając mój poziom frustracji. – Choć uważam, że potrzebujesz.

– To źle uważasz.

Brew uniosła się jeszcze wyżej.

– A jednak zabrzmiało to tak, jakbyś bardzo mnie potrzebowała.

– Cierpisz najwyraźniej na poważny defekt słuchu, bo powtarzam po raz kolejny, źle usłyszałeś. Nie potrzebuję cię, Aaronie Blackfordzie. – Przełknęłam ślinę, próbując pozbyć się suchości

w ustach. – Mogę ci to wręczyć na piśmie, gdybyś chciał. Wysłać maila, gdyby to mogło ci to pomóc.

Wyglądało to tak, jakby przez chwilę zastanawiał się nad tym z niezainteresowaną miną. Ale znałam go na tyle, by nie wierzyć, że tak łatwo odpuści. Czego dowiódł, w chwili gdy tylko ponownie się odezwał.

– Czy nie mówiłaś, że ślub jest za miesiąc, a ty nie masz osoby towarzyszącej?

Zacisnęłam usta w wąską linię.

– Być może. Nie pamiętam dokładnie.– Powiedziałam tak. Słowo w słowo.

– Czy Rosie nie zasugerowała, że być może gdybyś usiadła z tyłu i starała się nie zwracać na siebie uwagi, to nikt by nie zauważył, że przyjechałaś sama?

Głowa przyjaciółki znalazła się na linii mojego wzroku.

– Zasugerowałam. Zasugerowałam też, żeby włożyła stonowane kolory, a nie olśniewającą czerwoną sukienkę, która...

– Rosie – przerwałam jej. – Nie pomagasz.

Aaron bez mrugnięcia powieką powrócił do wspomniania.

– Czy nie zareagowałaś na to, przypominając Rosie, że jesteś pierdzieloną (twoje słowo) druhną i dlatego w s z y s c y, łącznie z ich matkami (również twoje słowa), i tak cię zauważą?

– Dokładnie – padło potwierdzenie z ust Panny Zdrajczyni. Gwałtownie odwróciłam głowę w jej kierunku.

– No co? – wzruszyła ramionami, podpisując na siebie wyrok. – Powiedziałaś tak, kochana.

Potrzebowałam nowych przyjaciół, natychmiast.

– Powiedziała – przytaknął Aaron, znów przyciągając mój wzrok i uwagę. – I czy nie twierdziłaś, że twój były chłopak jest drużbą, i myśl, że staniesz w jego pobliżu samotna, beznadziejna i żenująco niesparowana (to znów cytaty z ciebie), sprawia cię o chęć obdarzenia się ze skóry?

To prawda. Powiedziałam tak. Ale nie myślałam, że Aaron nas słucha. W przeciwnym razie w życiu nie przyznałabym się do tego głośno.

Ale najwyraźniej znalazł się w zasięgu mojego głosu. I teraz wiedział. Usłyszał, jak otwarcie się do tego przyznaję, i właśnie wywalił mi to prosto w twarz. I choć powtarzałam sobie, że mnie to nie obchodzi – że nie powinno obchodzić – i tak poczułam ukłucie bólu. Poczulałam się jeszcze bardziej samotna, beznadziejna i żalonna.

Przełykając grudę w gardle, odwróciłam wzrok i pozwoliłam, by spoczął gdzieś w pobliżu jego jabłka Adama. Nie chciałam widzieć, co ma wymalowane na twarzy. Kpinę. Litość. Nieważne. Nie musiałam wiedzieć, że jeszcze jedna osoba myśli o mnie w ten sposób.

To jego gardło zadziało jako pierwsze. Zauważyłam to, bo tylko na nie pozwalałam sobie patrzeć.

– Jesteś zdesperowana.

Zgromadzone w płucach powietrze wyrwało się z dużą mocą z moich ust. Skinienie głową – tylko tym go zaszczyciłam. I nawet nie wiem, czemu to zrobiłam. To nie w moim stylu. Zwykle walczyłam tak długo, aż połała się jego krew. Bo tak właśnie między nami było. Nie oszczędzaliśmy swoich uczuć. Nic nowego.

– To zabierz mnie. Będę twoją osobą towarzyszącą na ślubie, Catalino.

Bardzo powoli podniosłam wzrok z zalewającą mnie dziwną mieszaniną rezerwy i zażenowania. Już samo to, że Aaron był świadkiem tego wszystkiego, nie wróżyło dobrze, ale że jeszcze usiłował tego użyć dla własnych korzyści? Żeby się na mnie wyżyć?

Chyba że nie. Chyba że może istniało jakieś wyjaśnienie, powód, dla którego to robił. Proponował, że będzie moją osobą towarzyszącą.

Przyglądając się badawczo jego twarzy, rozważałam wszystkie opcje i możliwe motywacje, ale nie doszłam do żadnej

rozsądnej konkluzji. Nie znalazłam żadnej możliwej odpowiedzi, która pomogłaby mi zrozumieć, czemu lub co usiłował w ten sposób osiągnąć.

Tylko prawda. Rzeczywistość. Nie byliśmy przyjaciółmi. Ledwo się tolerowaliśmy z Aaronem Blackfordem. Traktowaliśmy się złośliwie, wytykaliśmy sobie błędy, krytykowaliśmy to, jak inaczej pracujemy, myślimy i żyjemy. Pogardzaliśmy różnicami. Na jakimś etapie w przeszłości byłam bliska rzucania strzałkami w jego zdjęcie. I niemal miałam pewność, że on zrobiłby to samo, bo nie tylko ja jechałam Autostradą Nienawiści. To była droga dwukierunkowa. Na dodatek to on spowodował w ogóle ten stan rzeczy. Nie ja zaczęłam z nim tę walkę. Więc dlaczego? Dlaczego udawał, że proponuje mi pomoc, i dlaczego miałabym zechcieć ją rozważyć?

– Być może desperacko poszukuję osoby towarzyszącej, ale nie aż tak. – Powtórzyłam. – Jak już mówiłam.

Westchnął zmęczony. Zniecierpliwiony. Wkurzający.

– Pozwolę ci się nad tym zastanowić. Wiesz, że nie masz innych opcji.

– Nie mam się nad czym zastanawiać. – Machnęłam ręką w powietrzu między nami, ucinając tę kwestię. A potem wyszczerzyłam się w stylu sztucznego, szerokiego uśmiechu Rosie. – Prędeż wzięłabym ze sobą szympansa w garniturze niż ciebie.

Uniósł brwi, a w jego oczach pojawił się jakby ślad rozbawienia.

– Daj spokój, oboje wiemy, że to nieprawda. Chociaż istnieją szympansy, które stanęłyby na wysokości zadania, to jednak będzie tam twój eks. Twoja rodzina. Powiedziałaś, że musisz zrobić na nich wrażenie, a ja pozwolę ci osiągnąć właśnie to. – Przechylił głowę. – Jestem twoją najlepszą szansą.

Parsknęłam, jednocześnie klaszcząc w dłonie. Arogancki, błękitnooki wrzód na moim tyłku.

– Nie jesteś moim najlepszym niczym, Blackford. I mam mnóstwo innych możliwości – odparowałam, wzruszając

ramionami. – Znajdę kogoś na Tinderze. Może zamieszczę ogłoszenie w „New York Timesie”. Znajdę kogoś.

– W ciągu paru tygodni? Mało prawdopodobne.

– Rosie ma przyjaciół. Zabiorę jednego z nich.

Od początku taki miałam plan. Właśnie dlatego złapałam Rosie tak wcześnie rano. Teraz zdałam sobie sprawę, że był to z mojej strony głupi błąd. Powinnam była poczekać i po pracy zabrać przyjaciółkę w jakieś bezpieczne, wolne od Aarona miejsce. Ale po wczorajszej rozmowie telefonicznej z *mamá*... taa. Sprawy się skomplikowały. Moja sytuacja zmieniła się zdecydowanie. Potrzebowałam kogoś i nie mogłam jaśniej dać do zrozumienia, że może to być ktokolwiek. Ktokolwiek oprócz Aarona, rzecz jasna. Rosie urodziła się i wychowała tu, w mieście. Musiała kogoś znać.

– Prawda, Rosie? Ktoś z twoich znajomych musi być wolny? Jej głowa znów się wyłoniła.

– Może Marty? Uwielbia wesela.

Posłałam jej szybkie spojrzenie.

– Czy Marty to nie ten, który upił się na ślubie twojej kuzynki, podprowadził mikrofon zespołu i śpiewał *My Heart Will Go On*, dopóki twój brat nie ściągnął go siłą ze sceny?

– To właśnie ten. – Skrzywiła się.

– No nie. – Nie mogłam pozwolić na coś takiego na weselu mojej siostry. Wyrwałaby mu serce z piersi i podała jako deser. – A co z Ryanem?

– Szczęśliwie zaręczony.

Z ust wyrwało mi się westchnienie.

– Nie zaskakuje mnie to. Ryan to chodzący ideał.

– Wiem. Dlatego tyle razy usiłowałam was ze sobą spiknąć, ale ty...

Odchrząknęłam głośno, przerywając jej.

– Nie omawiamy w tej chwili, czemu jestem singielką. – Zerknęłam pospiesznie na Aarona.

Spojrzenie jego przymrużonych oczu spoczywało na mnie.

– A może... Terry? – zasugerowałam.

– Przeniósł się do Chicago.

– Cholera. – Pokręciłam głową, przymykając na moment powieki.

Bez sensu.

– To zatrudnię aktora. Zapłacę mu, żeby odegrał rolę mojego partnera.

– To będzie pewnie kosztowne – powiedział spokojnie Aaron. – Aktorzy nie rosną na drzewach, czekając, aż ktoś samotny zatrudni ich, żeby paradowali jako jego osoba towarzysząca.

Wbiłam w niego rozdrażnione spojrzenie.

– Zatrudnię profesjonalnego pana do towarzystwa.

Jego usta zacisnęły się w ten ciasny, niemal hermetyczny sposób, jak to miały w zwyczaju, kiedy był wyjątkowo poirytowany.

– Wolałabyś zabrać na ślub siostry męską prostytutkę niż mnie?

– Powiedziałam „pana do towarzystwa”, Blackford. *Por Dios** – wymamrotałam, obserwując, jak jego brwi zbliżają się do siebie i budują grymas. – Nie szukam tego rodzaju usług. Potrzebuję jedynie towarzystwa. I to właśnie oferują. Towarzyszą ci podczas wydarzeń.

– Nie tym się zajmują, Catalino. – Aaron miał głos głęboki i lodowaty. Pokrywał mnie szronem krytyki.

– Nigdy nie oglądałeś komedii romantycznych? – Zobaczyłam, że grymas się powiększył. – Nawet *Chłopaka do wynajęcia*? Zero odpowiedzi, tylko arktyczne spojrzenie.

– Czy ty w ogóle oglądasz filmy? Czy tylko... pracujesz?

Istniało prawdopodobieństwo, że w ogóle nie miał telewizora.

* *Por Dios* (hiszp.) – na litość boską. Wszystkie przypisy pochodzą od redakcji.

Wyraz jego twarzy nie uległ zmianie.

Rety, nie mam czasu na coś takiego. Na niego.

– Wiesz co? Nieważne. Nie obchodzi mnie to. – Uniosłam ręce, a potem złożyłam je razem. – Dziękuję za... to. Czymkolwiek było. Świetne pomysły. Ale nie potrzebuję cię.

– Myślę, że potrzebujesz.

Popatrzyłam na niego ze zdumieniem.

– A ja myślę, że jesteś niezdolny.

– Catalino – zaczął, podnosząc mój poziom irytacji przez to, w jaki wypowiedział moje imię. – Chyba coś ci się uroiło, jeśli sądzisz, że znajdziesz kogoś w tak krótkim czasie.

Po raz kolejny Aaron Blackford się nie mylił.

Zapewne miałam lekkie urojenia. A on nawet nie wiedział o kłamstwie. Moim kłamstwie. I nie miał się dowiedzieć. Ale to niczego nie zmieniało. Potrzebowałam kogoś, ale nie jego, nie Aarona, tylko kogokolwiek, kto polecałby ze mną do Hiszpanii na ślub Isabel. Ponieważ (A) byłam siostrą i świadkową panny młodej, (B) mój były, Daniel, był bratem pana młodego i świadkiem. A od wczoraj wiem, że jest szczęśliwie zaręczony. Co rodzina przede mną ukrywała. (C) Jeśli nie brać pod uwagę kilku dosyć nieudanych randek, na których byłam, to technicznie rzecz ujmując, byłam singielką od jakichś sześciu lat. Odkąd wyjechałam z Hiszpanii i przeprowadziłam się do Stanów, co wydarzyło się wkrótce po tym, jak moja jedna jedyna relacja eksplodowała mi przed samym nosem. O czym wiedział każdy zaproszony na ślub gość – ponieważ tajemnice nie istniały w rodzinach takich jak moja, a już tym bardziej w miasteczkach takich jak to, z którego pochodziłam – i dlatego się nade mną litował. I (D) było jeszcze moje kłamstwo.

Kłamstwo.

Które zaserwowałam matce, a w rezultacie całemu klanowi Martínów, ponieważ prywatność i granice dla nas nie istniały. Moje kłamstwo trafiło już pewnie do tej pory na stronę z ogłoszeniami w lokalnej gazecie.

Catalina Martín nareszcie przestała być singielką. Jej rodzina z radością oznajmia, że Catalina przyleci na wesele ze swoim amerykańskim chłopakiem. Wszystkich serdecznie zapraszamy na to najbardziej magiczne wydarzenie dekady.

Bo to właśnie zrobiłam. Zaraz po tym, jak nowiny na temat zaręczyn Daniela wyrwały się z ust mamy i poprzez głośnik telefonu dotarły do mojego ucha, powiedziałam, że ja też z kimś przyjadę. Nie, nie tylko z kimś. Powiedziałam – skłamałam, oszukałam, fałszywie oświadczyłam – że przyjadę z moim chłopakiem.

Który, technicznie rzecz biorąc, nie istniał. Jeszcze.

Dobra, w porządku. Nigdy nie zaistnieje. Bo Aaron miał rację. Znalezienie partnera w tak krótkim czasie było być może nieco zbyt optymistycznym planem. Wiara, że mogę znaleźć kogoś, kto uda, że jest moim chłopakiem, zapewne była ułudą. Ale przyjęcie, że Aaron to moja jedyna szansa i zaakceptowanie jego propozycji? To już czyste szaleństwo.

– Widzę, że wreszcie coś do ciebie dociera. – Słowa Aarona przywołały mnie do rzeczywistości, w której jego niebieskie oczy wycelowane były we mnie. – Pozwolę ci się z tym pogodzić w pojedynkę. Daj tylko znać, kiedy to nastąpi.

Zacisnęłam usta. A kiedy poczułam, że znów płoną mi policzki – bo jak żalosna musiałam się wydawać Aaronowi Blackfordowi, który nigdy nie żywił do mnie cienia sympatii, żeby poczuł taką litość, by zaproponować, że sam mi potowarzyszy?

Skrzyżowałam ręce na piersi i odwróciłam wzrok od tych dwojga lodowatych, okrutnych oczu.

– Aha, Catalino?

– Tak? – Słowo ledwo wydostało się z moich ust. Ech, co za żenada.

– Postaraj się nie spóźnić na spotkanie o dziesiątej. To przestało być urocze.

Natychmiast spiorunowałam go wzrokiem, a prychnięcie utkwiło mi w gardle.

Dupek.

Poprzysięgłam sobie w tamtej chwili, że któregoś dnia znajdę wystarczająco wysoką drabinę, wespnę się na nią i cisnę czymś z całych sił w tę jego irytującą facjatę.

Rok i osiem miesięcy. Tyle go znosiłam. Liczyłam, czekałam na swoją chwilę.

Po tych słowach, ze skinieniem głową, odwrócił się i odszedł. Odprawił mnie do odwołania.

– To było... – Rosie urwała, nie kończąc zdania.

– Doprowadzające do szału? Obrażliwe? Dziwaczne? – podsunęłam jej, ukrywając twarz w dłoniach.

– Nieoczekiwane – odparła. – I ciekawe.

Spojrzałam na nią między palcami i zobaczyłam, że kąciki jej ust się unoszą.

– Twoja przyjaźń została unieważniona, Rosalyn Graham. Zachichotała.

– Wiesz, że wcale tak nie myślisz.

Nie myślałam. Nigdy się mnie nie pozbędzie.

– A więc... – Rosie wzięła mnie pod rękę i poprowadziła korytarzem. – Co zamierzasz?

Z moich ust wydobyło się drżące westchnienie, zabierając z sobą resztki mojej energii.

– Nie... nie mam zielonego pojęcia.

Ale jedno wiedziałam na pewno: Nie zamierzałam przyjmować oferty Aarona Blackforda. Nie był moją jedyną szansą, a już z pewnością nie był najlepszą. Nie był niczym. A zwłaszcza nie moją osobą towarzyszącą na weselu siostry.